

KATARZYNA ŻWIREŁŁO



DWA BIEGUNY

**PTASZEK  
W KLATCE**

**KATARZYNA ŻWIREŁŁO**



**PTASZEK  
W KLATCE**

**Autor:**

Katarzyna Żwirełło

**Redakcja:**

Agata Tokarska

**Korekta:**

Dominika Wilk  
Brygida Grzesik

**Skład:**

Anna Brodziak

**Opracowanie graficzne:**

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

## Zdjęcia z okładki:

© Lyn Randle / Trevillion Images  
© Alexandre Boucey / Unsplash

ISBN 978-83-66977-38-9

© Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak  
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów  
[www.dreamswydawnictwo.pl](http://www.dreamswydawnictwo.pl)

Rzeszów 2022, wydanie I

Druk: Drukarnia Read Me

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

Nie wybieraj się z nimi w drogę,  
swą stopę trzymaj z dala od ich ścieżki!  
Bo do zła biegną ich nogi,  
pędzą, aby rozlać krew.

PRZ 1,15-16

# 1

„Nie będę się poddawał!”

Pierwszy raz uderzył drugiego człowieka, mając zaledwie osiem lat. Nieszczęśnik był dzieciakiem ze szkoły, który powiedział wtedy o dwa słowa za dużo, za co stracił dwa zęby.

Szymon nie pamiętał już, o co wtedy poszło, ale odkąd sięgał pamięcią, zawsze miał talent do trafiania pięścią w odpowiednie miejsce, w nie do końca odpowiednich okolicznościach. Dopiero będąc pełnoletnim, nauczył się lepiej kontrolować swoją siłę. Wyrósł na pewnego siebie człowieka, czasem... zbyt pewnego, i został dziennikarzem.

Właśnie to wygórowane przekonanie o własnych możliwościach, noszące znamiona pychy, sprawiło, że znalazł się w śmierdzącej potem szatni, z rękawicami na rękach i niepokojem o wynik zbliżającej się walki. Nie miała to być uliczna bijatyka ani kierowana gniewem spontaniczna konfrontacja, ale prawie profesjonalna walka w stylu mieszanym. Taka pod hasłem: „wszystkie chwytówy dozwolone”. Znał przeciwnika na tyle dobrze, by wiedzieć, że ma się czego obawiać. Sam był dość szybki, zwinny, miał dobrą technikę i niemałą parę w mięśniach, ale mierzył niewiele

ponad metr siedemdziesiąt, a jego waga nie przekraczała siedemdziesięciu kilogramów. I co najważniejsze – nie był zawodowym pięściarzem. Jak więc się w to wszystko wpa-  
kował?

Parę miesięcy wcześniej odwiedził go przyjaciel, aspirant Robert Baczuk, i powiedział, że prowadzi dochodzenie w sprawie zamordowanego pięściarza. Podejrzany był ringowy przeciwnik ofiary, Arkadiusz Halecki, a policjant wpadł na pomysł, by do jego hermetycznego środowiska wprowadzić tajniaka.

Szymon trenował boks, nie mieszane sztuki walki, i w dodatku robił to amatorsko. Dostając jednak od przyjaciela oraz trenerów pakiet pochwał, pomimo początkowej rezerwy zgodził się pomóc. W decyzji pomogło mu również zapewnienie, że pod przykrywką nie będzie musiał pracować sam. Dołączą do niego jego pierwsi trenerzy i jednocześnie byli policjanci – Berg i Tyszka, którzy już dawno odsłonili przed zdolnym, wysportowanym dziennikarzem podstawy boksu. Kiedy aspirant Baczuk dorzucił na koniec, że z takiej fuchy może wyniknąć temat na całą rozkładówkę w gazecie, Szymon stracił wszelkie opory. Nie przypuszczał nawet, że nim upłynie miesiąc, pożałuje podjętej decyzji i cała jego pewność siebie zniknie w zakamarkach obskurnej szatni.

Siedział na ławce, wpatrując się w podłogę i koncentrując myśli. Kilka minut wcześniej trener założył mu rękawice, serwując motywującą gadkę, jednak Szymon poprosił o chwilę samotności. Może niepotrzebnie wplątał się w to wszystko? Trzeba było żyć własnym dziennikarskim życiem, pisać na oczywiste tematy, nie szukać zbędnych wrażeń.

Było za późno, aby się wycofać. Dał się ponieść ambicji. Chwycił okazję, a teraz bał się, że okazja może go przerosnąć.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wpadł szum wielu głosów dobiegający z hali. W progu stanął były komisarz Alan Berg. Jego zaczesane do tyłu włosy na skroniach oprószała siwizna, ale stanowczość w ruchach i spojrzeniu wskazywała na młodego ducha.

– Już czas. Gotowy? – zapytał.

Rafalski przytaknął.

Kiedy na sali pojawił się pierwszy z zawodników, Arkadiusz Halecki, tłum podniósł okrzyki podekscytowania. Przyjmowano jeszcze ostatnie zakłady i wielu kibiców było przekonanych o bliskiej wygranej tego wysokiego, napa-  
kowanego mężczyzny w kapturze. Jego przemarszowi od drzwi do ringu nie towarzyszyły wirujące światła ani energetyzująca muzyka. Tylko krzyki i oklaski. Nie była to oficjalna, transmitowana przez media walka, ale podziemny spęd wielbicieli nielegalnych bijatyk.

Przez wrzawę przebiły się nieco wzmocnione amatorskim nagłośnieniem słowa konferansjera:

– Powitajmy pierwszego zawodnika! Wielokrotnego mistrza, dotąd niepokonanego króla naszego ringu, Wielkiego Arka Haleckiego!

Widzowie zawiwatowali ze zdwojoną siłą. Z kilkuset gardeł buchnęły krótkie, zsynchronizowane pohukiwania, przypominające dzikie odgłosy wydobywane przez goryle podczas bojowego podniecenia.

Zawodnik wyszczerzył zęby osłonięte ochraniaczem, a potem zawarczał, uderzając się w pierś. Był gotowy do walki.

Niecierpliwie czekał na swojego przeciwnika, krążąc po ringu i podskakując co jakiś czas.

Szymon Rafalski obserwował go przez chwilę z progu sali, próbując zastąpić zwątpienie koncentracją. Poruszał się niespokojnie, przeskakując z nogi na nogę, by dać ujście rosnącym nerwom.

Jego obecność w tym dziwnym, niepasującym do niego miejscu była efektem kilkutygodniowej, skrupulatnie zaplanowanej policyjnej operacji. Od momentu ujawnienia zwłok droga poprowadziła funkcjonariuszy do nielegalnych walk organizowanych w podwarszawskiej miejscowości, a w szczególności do stojącego naprzeciw Szymona Wielkiego Arka. Potrzebowali jeszcze jednego, niewielkiego, za to ważnego elementu – narzędzia zbrodni w postaci noża.

Rafalski wszedł w to szemrane towarzystwo po to, by obserwować członków klubu i pomóc w zdobyciu materiałów DNA, które policja mogłaby porównać z tymi znalezionymi na miejscu zbrodni. Zadanie nie zakładało konieczności wchodzenia na ring podczas nielegalnych walk. Wojowniczy charakter Szymona nie pozwolił mu jednak odmówić, kiedy pojawiła się możliwość fizycznej konfrontacji z podejrzanym.

Wyniesiona przez niego z szatni kilka dni temu butelka wody trafiła do laboratorium, a pobrany z niej materiał DNA zgadzał się z tym znalezionym przy zwłokach i wskazał, że Arkadiusz Halecki, najbardziej dochodowy pięściarz tego interesu, był na miejscu zbrodni.

Pod pretekstem likwidacji nielegalnych zawodów i zakładów policja miała rozgnać to zgromadzenie, dokonać

aresztowań, a przede wszystkim przeszukać szafki w szatni. Rafalski wiedział, że w jednej z nich, tej należącej do Haleckiego, znajdą nóż. Musieli jedynie nabrać pewności, że wejdą w posiadanie dowodu drogą legalnego przeszukania. Wszystko musiało zagrać jak w szwajcarskim zegarku, jeżeli chcieli, by morderca odpowiedział za swój czyn.

Stojący obok niego Filip Tyszka był wysoki, nieco wychudzony i miał już sporo lat na karku. Jego poważną, nieco zatroskaną twarz zdobiły liczne zmarszczki, a włosy osiągnęły już najjaśniejszy z możliwych odcieni siwizny. Nie zdradzał emocji. Z kolei towarzyszący im Alan Berg odetchnął nerwowo, po czym nachylił się do ucha zawodnika, by dać mu ostatnie wskazówki przed walką.

– Skoncentruj się tylko na Haleckim. Tylko on ma cię teraz interesować.

Szymon obrócił się lekko ku Bergowi.

– Jasne, Proca! To pewnie nie zajmie długo, Robson i chłopaki zaraz przyjadą! – odparł z nadzieją w głosie.

– Nie myśl o tym! – wypalił stanowczo były komisarz.

Dopiero teraz Szymon spojrzał na niego, czując, że ten ma mu do powiedzenia coś ważnego.

– Chciałeś iść na ring z wielkoludem – kontynuował Berg – to masz okazję! Skoncentruj się na walce i wal tak, jakby policja w ogóle miała tu nie dotrzeć!

Szymon Rafalski przytaknął.

Konferansjer odczekał chwilę, aż nieco ucichły oklaski, i podjął na nowo:

– Przeciwnikiem naszego mistrza będzie, nie ma co ukrywać, odważny i szybki zawodnik! Debiutant na naszych deskach! Szymon Rafalski „Kobra”!

– Chyba żartujesz, Proca?! – szepnął z naciskiem Szymon, zwracając się do Berga. – Na serio? Kobra?!

Berg wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze stojącym obok Tyszką i odpowiedział:

– To ty chciałeś wystąpić z otwartą przyłbicą pod własnym nazwiskiem. Towarzystwo połączyło kropeczki, wiążąc cię z twoim ojcem. Widocznie odziedziczyłeś po nim ksywę.

Szymon odetchnął nerwowo. Nie chciał niepotrzebnie rozpraszać uwagi. Podskoczył kilka razy w miejscu i przekroczył próg.

Jego ojciec mógł imponować niejednemu zebranemu tego dnia pod dachem sali bokserskiej. Tadeusz Rafalski „Kobra” był przestępcą – handlarzem narkotyków, mordercą, złodziejem – i wszystkim, co najgorsze w życiu swojego syna.

Przez lata Szymon sądził, że ojciec był zwyczajnym warszawskim przedsiębiorcą, jednak z czasem zaczął zadawać sobie pytanie, dlaczego w otoczeniu przedsiębiorcy zawsze kręcą się podejrzane typy, a temat „wpierdalającej się we wszystko policji” wydawał się częstym, zbyt częstym tematem w ich domu. Dociekliwość doprowadziła go do prawdy, z którą zmagał się przez większość swojego życia. Zrozumiał jednak, jak wielkie jest jej znaczenie i wpływ na to, kim się stajemy. Gdy w końcu nauczył się wykorzystywać rodzinną przeszłość, zadawanie pytań i szukanie odpowiedzi stały się nie tylko jego naturalną potrzebą, ale również zawodem. Mimo wszystko był dumny ze swojego doświadczenia i ze ścieżki, jaką obrał. Nie miał tylko pewności co do celu swojej wędrówki, bo choć był Rafalskim, nie zamierzał iść śladami ojca.

Może rzeczywiście powinien był posłuchać przyjaciół, doradzających mu wstąpienie w to środowisko pod fałszywym nazwiskiem. Ale Szymon zawsze był pewny siebie, odważny i zawzięty. Teraz zaczął się zastanawiać, czy te jego cechy, które dotąd uważał za zalety, nie są wprost proporcjonalne do poziomu głupoty, jaki prezentował.

Zderzył ze sobą obie rękawice, a trener sprawdził, czy dobrze się trzymają.

– Zobaczysz, Proca, uśpię wielkoluda w kilka sekund – zapewnił.

– Nie pozwól, żeby sprowadził cię do parteru – wtrącił spokojnie Tyszka, kładąc pomarszczoną dłoń na ramieniu chłopaka. – Jesteś dobrym bokserem, ale tutaj nie ma bokserskich zasad. Jak przyciśnie cię do desek tym cielskiem, to będziesz miał problemy.

– Nie zejdziemy do parteru! – odparł Szymon z pewnością, po czym wszedł na ring. Wymienił spojrzenia z przeciwnikiem.

Ten naprawdę był Arkiem „Wielkim”.

Młody dziennikarz przełknął ślinę i podszedł jeszcze do narożnika.

– Ale miałeś jakieś info, że chłopaki już jadą?

Proca spojrzał na niego wymownie. Wyraźnie irytowała go lekkomyślność, która najpierw doprowadziła Szymona na ring ze znacznie większym od niego przeciwnikiem, a teraz podpowiadała mu, że może liczyć na interwencję z zewnątrz. Klepnął Rafalskiego w policzek i pogroził mu palcem.

– Chłopaki robią swoje i ty rób, co do ciebie należy. Powal drania! Jesteś szybszy od niego!

Dziennikarz potrząsnął głową, po czym kilkoma skokami wkroczył na środek ringu. Nagły brzęk dzwonka wprowadził Szymona w całkiem inną rzeczywistość. W świat zamykający się w czterech bokach ringu, ograniczony do unikania ciosów oraz ich zadawania. Jedynym jego zmartwieniem miał być teraz przeciwnik, który nie był ani Arkiem Haleckim, ani mordercą. Przeciwnik był maszyną zadającą ciosy. Wielką, nieco przyciężką maszyną.

Szymon tańczył na swoich szybkich nogach. Prędkość była jego mocną stroną. Podobnie giętkość. Bujał się sprężyste, dynamicznie zwiększając i zmniejszając odległość dzielącą go od przeciwnika. Każdy mięsień jego ciała był teraz napięty, ale temu napięciu towarzyszyła wyćwiczona swoboda. Łokcie blisko ciała, garda wysoko. Lewa ręka uniesiona do lewej skroni, prawa, gotowa do ciosu, czekała na właściwy moment.

Zebrana wokół publiczność skandowała: „Wielki, Wielki”. Padały też zdania: „Zgnieć robaka” i „Zabij szczyła”. Szymon nie słyszał ich krzyków. Ciało koncentrowało się na walce, a umysł, niepotrzebnie, na spóźniającej się odsiecz. Przed oczami widział jedynie rozbijane przed sobą dwie granatowe rękawice.

Nie zamierzał zadać pierwszego ciosu. Grał na czas. Ponownie pomyślał, że powinien posłuchać rady trenera i oddać starcie walkowerem. Właśnie wtedy, kiedy zwątpił, otrzymał pierwszy cios, który położył go na deski. W uszach zapiszczał mu przeciągły dźwięk, a obraz przed oczami zamrugał setkami gwiazd. Po chwili usłyszał szum wiwatów, potem dudnienie męskich gardeł. Następnie pojawiło się odliczanie.

Spojrzał w narożnik, przy którym stał Berg. Komisarz wołał do niego, ale jego głos tonął w hałasie. Z ruchu warg Szymon zrozumiał tylko jedno słowo: „Leż”.

„Leż” znaczyło tyle, co „poddaj się”. A kazać Szymonowi Rafalskiemu opuścić gardę, było głosem wołającego na puszczy.

Potrzebował paru sekund, by oprzytomnieć. Sędzia doliczył do ośmiu, a zawodnik podniósł się z desek. Potrząsnął głową, podskoczył energicznie i spojrzał sędziemu w oczy z pełną świadomością. Ten wyraził zgodę na dalszą walkę. „Wal tak, jakby policja miała w ogóle nie dotrzeć” – powtórzył sobie w głowie i ponownie zbliżył się do przeciwnika tanecznym krokiem.

Wielki Arek dość szybko zdecydował się na kolejny cios. Szymon uchylił się, unikając starcia z granatową rękawicą. Przeciwnik zachwiał się, zapewne licząc, że uderzenie wyładuje na twarzy tańczącego boksera. Chybienie rozzłościło go i sprowokowało nową serię uderzeń, z których wszystkie okazywały się niecelne. Halecki trafiał w powietrze, a jego irytacja rosła z każdą kolejną sekundą.

Dzwonek zakończył pierwszą rundę.

– Dobrze ci idzie! – pochwalił Szymona Berg, kiedy ten doszedł do narożnika.

Rafalski nie usiadł ani na chwilę. Jeszcze nie odczuwał zmęczenia. Przeciwnie, kipiała w nim energia, więc prężnie przerzucał ciężar ciała z nogi na nogę. Przepłukał usta wodą i pozwolił rozetrzeć sobie napuchniętą od ciosu skroń.

– Dobrze widzisz na lewe oko?

– Tak.



– To uważaj na jego prawą nogę. Już parę razy przymierzał się do kopnięcia. Jesteś dla niego za szybki, będzie próbował sprowadzić cię na parter.

Ponowny dzwonek zawołał zawodników z powrotem na środek ringu. Tym razem nie było czekania, krążenia wokół siebie, prowokowania przeciwnika do zadania ciosu. Wielki Arek zamachnął się momentalnie, ale znowu jego pięść minęła głowę Szymona. Rafalski obrócił się wokół własnej osi i uderzył przeciwnika po raz pierwszy. Ten zaskakujący *spinning backfist* wyrwał z gardeł kibiców okrzyk zachwytu.

Halecki zachwiał się i zatoczył do tyłu, na liny. Cios zamroczył go na chwilę, jednak nie wystarczył, żeby zakończyć sprawę. Otrząsnął się i kołysząc ciałem, podszedł do przeciwnika. Uderzył lewą pięścią, a gdy Szymon wykonał spodziewany unik, kopnął go prawą nogą z taką siłą, że Rafalskiego powaliło na deski. Zaraz potem wielkie cielsko runęło na drobniejszego zawodnika i przygniotło go.

Uderzając twarzą o matę, Szymon przewidział kolejny krok wielkoluda. Halecki założył hak na jego szyi, nim leżący zdołał wykonać jakikolwiek ruch. Szymon mógł szukać wyjścia z tej sytuacji. Mógł spróbować się obrócić, wyslizgnąć, ale wolał odpychać przeciwnika, walczyć siłą przeciw sile. Próbował wcisnąć dłoń między zgniataną szyję a mięsistą rękę przeciwnika. Próbował go od siebie odepchnąć. Bezskutecznie. Opuszczały go siły. Brakowało mu tlenu.

– Odklep! – wrzasnął Berg, gdy czerwona twarz Szymona stała się purpurowa.

– Odklep! – wtórował Tyszka, ale Szymon nadal uparcie walczył w sposób, który nie przynosił efektów.

Nie odklepywał. Nie poddawał się.

Berg nie czekał, aż Szymon straci przytomność. Machnął w powietrzu rękami, po czym wparował na ring, przerywając walkę.

Halecki odrzucił od siebie przeciwnika i zerwał się na nogi, triumfalnie wznosząc ręce. Wydał z siebie dziki okrzyk radości, a tłum głośno mu zawtórował.

Szymon z trudem zaczerpnął powietrza i wściekły uderzył w matę. Próbował krzyżeć, ale ściskane przez kilka sekund gardło pozwoliło mu jedynie na głębokie charknięcie mające wyrazić protest.

– Uduśliby cię! – rzucił Berg.

Ponowne uderzenie w deski sprawiło, że trener zaniechał dalszego tłumaczenia.

Szymon był wściekły. Wściekły na Haleckiego, że go pokonał, na Tyszkę, że nie powstrzymał Berga, aż w końcu na samego Berga, że ośmielił się przerwać walkę i odebrać mu szansę na wygraną. Ale najbardziej ze wszystkiego był wściekły na siebie samego i swoje słabości. Nie miał jednak zamiaru przyznawać się do tego.

Frustracja spinająca mu mięśnie była prawdziwa, choć teatr, w którym brał udział, dobiegł końca, gdy na salę wkroczył oddział policji. Szybko przegrupowano całe towarzystwo, spisano uczestników tego nielegalnego spędu, zatrzymano kilka osób i rozpoczęto przeszukanie budynku. W szafce Haleckiego znaleziono nóż, który zabezpieczono i opatrzone numerem dowodowym, a samego pięściarza zakuto w kajdanki.

Szymon chodził nerwowo po opustoszałej szatni. Wyjął z szafki koszulkę i huknął metalowymi drzwiczkami. Na ten

właśnie moment wyładowywania złości naszedł aspirant Robert Baczuk.

– Coś nie tak, Szymon?

Dziennikarz posłał mu agresywne spojrzenie.

Byli przyjaciółmi od wielu lat. Zdarzało się, że czerpali z tej relacji wzajemne korzyści. Robert łapał przestępców, a Szymon o tym pisał. Szymon odkurzał dawne kontakty z półświatka przestępczego, które odziedziczył po ojcu, a Robert wykorzystywał zdobyte informacje w dochodzeniach. Bywało, że w tym z pozoru idealnym układzie dochodziło do spięć, jednak dziennikarz i aspirant zawsze wracali na wspólną drogę. Koniec końców byli przyjaciółmi.

– Jakbyś przyjechał o czasie, w ogóle nie doszłoby do tej walki! – powiedział w końcu Rafalski.

Robert utkwiał spojrzenie w suficie.

– Już jest po wszystkim, stary...

– Nie uspokajaj mnie, Robson! – syknął dziennikarz, chodząc nerwowo po szatni.

– O co tak się wściekasz? Już jest po wszystkim. Towarzystwo rozgonione. Halecki jest w drodze do aresztu. W jego szafce znaleźliśmy nóż. Wszystko poszło tak, jak planowaliśmy.

– Z wyjątkiem tego, że o mało mnie nie udusił, bo przyjechaliście kilkanaście minut spóźnieni!

– Z tego, co mówił mi Proca, wystarczyło, żebyś odklepał. Dlaczego tego nie zrobiłeś?!

– Nie będę klepał, stary! Nie będę się poddawał!

Robert uniósł ręce w geście kapitulacji i bezsilnie je opuścił. Przez chwilę w milczeniu obserwował jego poczynania, ale w końcu zapytał:

– Odwieźć cię do domu?

– Sam sobie poradzę! – oznajmił i zamówił sobie tak-sówkę.

Ta odwiozła go do hotelu, gdzie spędził kilka ostatnich nocy. Uznał, że uchroni go to przed zbyt wieloma pytaniami zadawanymi przez jego dziewczynę, Małgorzatę, z którą mieszkał od pół roku. Nie chciał męczyć się wymyślaniem kłamstw na temat tego, gdzie wieczorem wychodzi, czemu wraca pobity, zmęczony i tym podobne. Postanowił wymyślić tylko jedno kłamstwo – że wybiera się na wyjazd integracyjny z kolegami z redakcji. Z początku planował zostać w hotelu jeszcze pięć dni po walce, odetchnąć, dojść do siebie, pozwolić, by siniaki wyblakły. Był jednak tak zły, że nie zamierzał spędzić w hotelowym pokoju ani jednego dnia dłużej. Chciał wrócić do Goški. Trudno! Najwyżej okłamię ją kolejny raz. Powie, że go napadli, pobili i że postanowił przyjechać wcześniej, bo za nią tęsknił. Była to po części prawda.

Spakował swoje rzeczy do plecaka i wymeldował się z hotelu, zrywając tym samym z rolą policyjnej wtyki. Gdy dotarł do mieszkania, okazało się, że Goški jeszcze nie było. Zegar wiszący na ścianie w kuchni informował, że dochodziła dwudziesta pierwsza. Szymon pomyślał, że dziewczyna wyszła po pracy z koleżankami na piwo albo pojechała na wieczorne zakupy, co zdarzało jej się od czasu do czasu. Zadzwonił do niej, ale nie odbierała. Rozebrał się, czując, że starcie z Haleckim nadwyrężyło mu staw barkowy. Wziął gorący prysznic, a później padł na łóżko i momentalnie zasnął.

Wybudziły go jakieś szmery. Zgrzyt klucza otwierającego zamek przy drzwiach. Szymon, skołowany i półprzytomny, zerknął w ciemność za oknem. Przewrócił się na drugi bok

i poczuł lekkie podniecenie. Może jednak znajdzie siły na okazanie jej trochę czułości. Przeciągnął się, czekając na wejście Gośki. Już miał ją zawołać, żeby nie przestraszył jej niespodziewany widok faceta w łóżku, ale nim wydobył z siebie dźwięk, do jego uszu dotarł czarujący chichot. Gośka śmiała się tak czasami, kiedy całował ją w szyję. Potem rozległo się pomlaskiwanie i pojękiwanie. Pomyślał, że albo zwariował, albo śni. Usiadł na łóżku, wytężając słuch.

Świadomość, że to, co słyszy, jest tak realne jak fakt, że czuje i oddycha, zerwała go z łóżka. Nagłym szarpnięciem otworzył drzwi sypialni, przerywając chwilę rozkoszy, której oddawała się jego dziewczyna. Widząc, jak wypina pośladki ku jakiemuś obcemu facetowi, pożałował, że nie został tej nocy w hotelu.

Nim zdążyła się wyprostować, a mężczyzna podciągnąć spodnie, Szymon zamachnął się i jednym ciosem znokautował intruza. O dziwo sam w tym momencie poczuł się jak intruz. Mimo to złapał faceta za ramię i wytaszczył go za drzwi. Wykopał z mieszkania jego ubrania, a gdy zamknął za nim, buzując z wściekłości, wrócił do salonu, gdzie czekała sparaliżowana Gośka. Jej twarz była już mokra od łez, które nie wzbudzały w nim ani krzty współczucia.

– Przepraszam! Przepraszam, Szymek!

– Jak mogłaś to zrobić?! Nie było mnie raptem kilka dni!

– Miałaś wróć dopiero w niedzielę...

– I to cię tłumaczy?!

– Nie, nie, Szymuś, kochany... – łkała, próbując go objąć.

Odepchnął ją, ale ona nie dawała za wygraną. Zaczęła głaskać go po policzku, lecz złapał jej nadgarstek, patrząc na nią z obrzydzeniem.

– Co ci się stało? – zapytała czule.

– Nie zmieniaj tematu! Co to za koleś?! Nie! W ogóle mam to gdzieś! – krzyknął, po czym ruszył do sypialni. Założył koszulkę oraz spodnie. Wyciągnął z szafy dużą walizkę i niedbale wypełnił ją swoimi rzeczami. Gośka podbiegła i przywarła do niego całym ciałem.

– Nie odchodź, błagam cię! To był błąd, głupstwo! Ja go nawet dobrze nie znam! Między nami nic nie ma!

Szymon spojrział na nią gniewnie, złapał mocno za jej szczupłe ramiona i zdecydowanym ruchem odsunął ją od siebie.

– Tym gorzej – odparł zadziwiająco spokojnie. – Skoro zrobiłaś to z obcym facetem, domyślam się, że nie był to pierwszy raz.

Patrzyła na niego sarnimi oczami. Nie odpowiadała.

– No właśnie... – skwitował, po czym zamknął walizkę. Podniósł z podłogi plecak, którego nie zdążył rozpakować po powrocie. – Jak znajdziesz jeszcze jakieś moje rzeczy, możesz je wywalić. Nie dzwoń.

Nie spojrział na nią więcej. Za sobą słyszał jedynie łkanie i powtarzane jak mantrę, bezwartościowe w jej ustach słowa: „Kocham cię”.